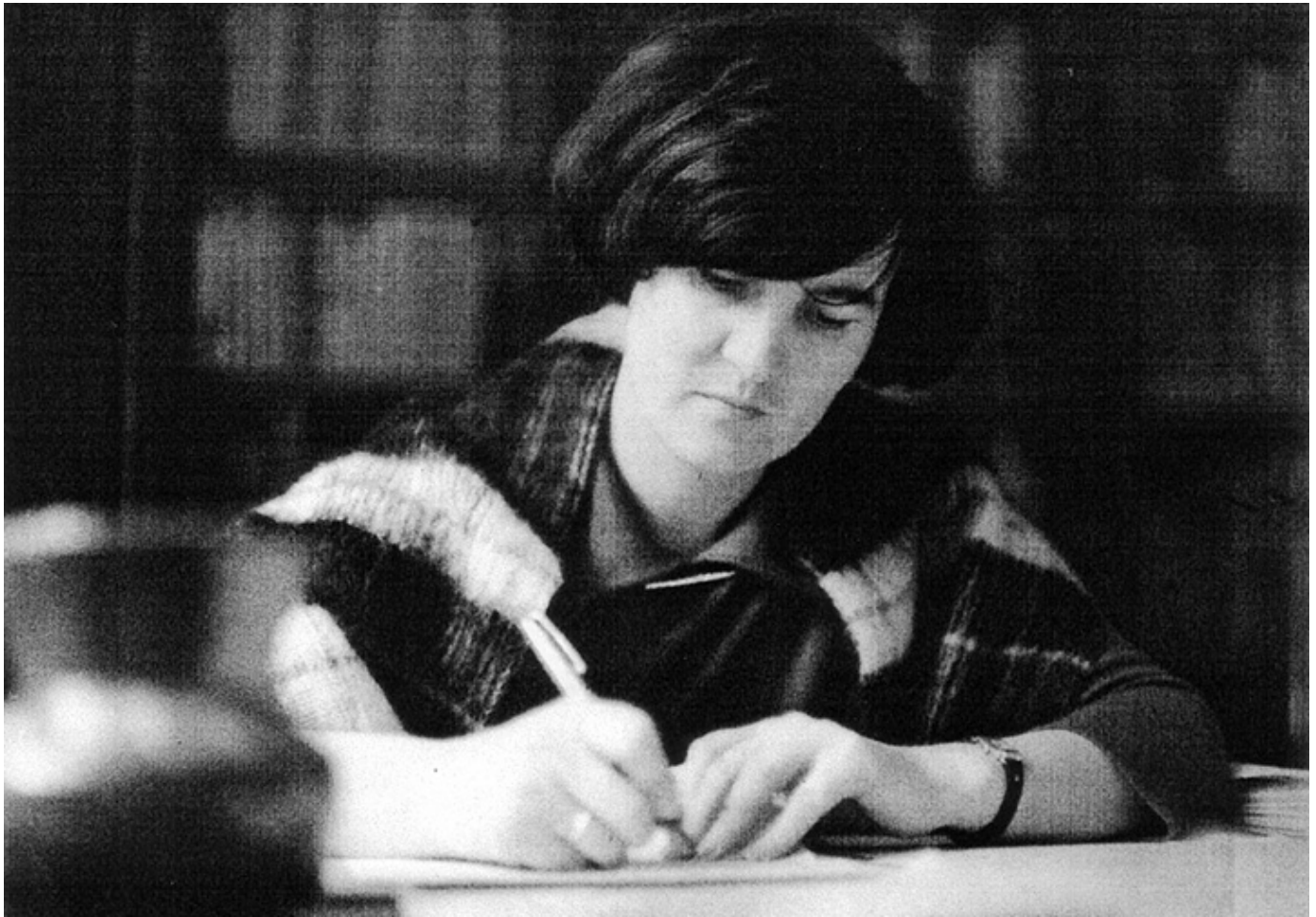


# Z rodzinnego albumu. Wojna - ucieczka za Bug.

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)



Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Teraz my staliśmy się uciekinierami. Były ich tysiące. Drogi zamieniły się w rzeki ludzi. Tłok był tak wielki, że niepodobna było jechać. Można było zatratować żywych, popychających się wzajemnie, walczących o swoje miejsca, o prawo do istnienia. W jakim tempie mogliśmy się posuwać końmi niech zobrazuje postać górala w sukienkach, białych spodniach paradnych haftowanych w parzenice, w białej koszuli z ciupagą przez ramię, w kapeluszu czarnym z muszelkami ku ozdobie szedł boso, a buty dyndały związane sznurowadłami na plecach. Piękna, wełniana gunia niedbale zwisała z ramienia. Mijaliśmy się co jakiś czas, to on nas wyprzedzał, to my jego. Przy każdym spotkaniu unosił kapelusz do góry i pozdrawiał.

Ludzie taszczyli tobołki, ciągnęli bydło, wieźli na małych, dziecięcych wózeczkach wszelaki dobytek. Kto czym mógł jechał, kto co miał zabierał ze sobą na wschód. Posuwała się ta masa ludzka i zwierzęca nieuporządkowana, nie do opanowania, niebezpieczna sama dla siebie. Posuwaliśmy się powolutku szukając ciągle możliwej przestrzeni. Był upał, niebo bezchmurne, paliło słońce bezlitośnie i co chwilę przelatywały nad głowami samoloty, które ostrzeliwały się na naszych oczach, dymiły i spadały płonąć na domy i drzewa. Grozę i niebezpieczeństwo powiększały jeszcze salwy z karabinów maszynowych. Na drodze panował straszny hałas i zgiełk, ludzie się gubili, krzyczeli, nawoływali, przewracali i popychali. Strzelano z góry do moich braci, bo byli w rogatywkach harcerskich w kolorze wojskowym. Osłoną były nam stogi siana. Jakoś dotarliśmy do rzeki o nazwie Ługa pod Uściługiem. Most był zerwany, więc przebyliśmy ją wplaw nie szukając brodu. Konie omal się nie potopiły, a bryczka zanurzyła się w wodzie. Jej skrzyniowa konstrukcja uratowała mnie przed wypadnięciem, ale i tak wszystko pływało: moja lalka, Eli komódka, braci znaczki nie mówiąc już o jedzeniu załadowanym na wóz. Po drugiej stronie Ługi trafiliśmy na świeże pobojowisko. Była tam potyczka polskich wojsk napadniętych przez miejscowych Ukraińców. Pole bitewne usłane było oskalpowanymi trupami Polaków, rozrzuconymi nabojami, granatami i szczątkami ludzi i umundurowania. Musieliśmy przez to wszystko przejechać. To było straszne. Później zbieraliśmy naboje, całe załadowane magazynkami, pomagaliśmy polskim żołnierzom. Leżało tam dużo granatów ręcznych. Podniosłam jeden w kształcie gęsiego jaja o rowkowanych podziałach. Bardzo mi się podobał i chciałam się nim pobawić, ale Witek już był przy mnie i szeptem kazał mi to ostrożnie położyć. Ze strachem, ale posłusznie to uczyniłam. Podobno był odbezpieczony. Cud! Dotarliśmy wreszcie do Uściługa, ale naszej rodziny, cioci Irki Wołowskiej już tam nie było. Uciekła do Zarzecza.

Więc i my pojechaliśmy do Zarzecza, majątku dziadka Stefana Taczanowskiego, brata naszej babci ze strony taty. Ciocię Irkę znaleźliśmy w wykopanym w ogrodzie rowie wielkości pojedynczego grobu. Tuliła maleńką, dwutygodniową Madzię w beciku. Babcia z półtoraroczną Danisią usiłowała we dworze spełniać normalne, codzienne, domowe czynności sama, bez służby. Nie pamiętam czy nocowaliśmy we dworze, czy pojechaliśmy dalej. Zapamiętałam szerokie plenery Wołynia, kopy siana na polach, może były to stogi koniczyny i sterty słomy, pod którymi chroniliśmy się dla odpoczynku. Nie wiem ile dni jechaliśmy i kiedy znaleźliśmy się w Biskupicach

(lub Biskupiczach wg Aftanazego) należących wówczas do hr. Kaszyckiego, gdzie był nocleg w kącie dworskiej oficyny, pokotem na słomie. Karmiło nas wojsko polskie swoimi konserwami z grochówką i wieprzowiną. Biegaliśmy z braćmi oglądać zestrzelony polski samolot „Karaś”. Właziliśmy do środka i nawet chłopcy zdobyli pierwsze i chyba jedyne trofeum wojenne. Była to mała lampka, a raczej szkiełko przykrywające, czerwone i wypukłe, wielkości orzecha włoskiego. Długo przewracało się w szufladce z rupieciami maminego biurka, teraz jest u Julka. Wszystko to, co się działo wokół nas było ogromnie interesujące i niezwykle. Nie potrafiliśmy dzielić niepokoju matki i babki. W Biskupicach zamieszkaliśmy później w pałacu i byliśmy oprowadzani po pięknych ogrodach, gdzie hodowano nadzwyczajne gatunki róż oraz szparagi. Ogrodnik szczyił się wyhodowaniem odmiany tzw. czarnej róży, rzeczywiście była bardzo ciemnoczerwona. To wtedy, tam, w Biskupicach z rąk nobliwego dżentelmena (nie wiem kto to był) dostałam pierwszy kwiat w moim życiu – pąsową, pachnącą, cudowną różę.



Małżeństwo Eleonora i Józef Fabijańscy (mama i tata) w oczekiwaniu na potomka, moją starszą siostrę Elę, u ciotki Helenki w Lublinie, 1924 r.

Dlaczego zawędrowaliśmy aż do Biskupic? - dlaczego nie do Zarzecza? - nie wiem. I nie chcę pytać rodzeństwa, zresztą, pewnie też nie wiedzą. Piszę swoje wspomnienia, to co zapamiętałam jako niespełna siedmioletnie dziecko. Szkoda, że nie zapamiętałam co mi się śniło, gdy spałam jedną noc w bryczce (o tym po latach powiedział mi brat Julek). To piękny i fascynujący przyczynek do życiorysu - gorąca noc pod wygwieżdżonym niebem we wrześniu 1939 roku na Wołyniu. W mej pamięci to biała plama, ale może symbolicznie związana z późniejszym zawodowym życiem?

Po kilku dniach spędzonych w kwitnącym majątku, zapadła decyzja powrotu przez Włodzimierz Wołyński, gdzie mieszkała ciocia Janka, siostra taty z mężem, córką i matką. Był to już 18 września i wojska sowieckie nie wpuszczały nikogo do miasta. Witek, sprytny chłopak, przedarł się sam wykorzystując moment nieuwagi, a może łagodność i wyrozumiałość żołnierza. Dotarł, powiedział, że wracamy do Hrubieszowa i żebyśmy czym prędzej opuściły Włodzimierz.

Wróciliśmy szczęśliwie do siebie dzięki zaistniałej sytuacji, gdy Niemcy już byli, ale cofnęli się z Hrubieszowa, a Sowietci jeszcze nie doszli. W tym krótkim okresie kilku dni miasto było w polskich rękach.

Niestety, nasze mieszkanie zastaliśmy splądrowane, rozgrabione i w rozgardiaszu. Stały ogołoczone ze wszystkiego meble i walały się puszki po konserwach niemieckich, wojskowych, a na stole pozostały butelki po winie, w których mama przygotowała sodę na maseczki przeciwigazowe. Wszystkie bowiem kobiety zostały przeszkolone na wypadek wojny i mama zrobiła duży zapas dla całej rodziny tego płynu, przecież nie do picia. Myślę, że skutki działania sody w żołądku żołnierze zapamiętali na całe życie.

\*\*\*

Siedziałam na biurku mamy i patrzyłam przez okno jadalnego pokoju wychodzące na reprezentacyjny podjazd z okrągłym klombem kwiatowym i strzyżonym trawnikiem. Widać stąd było część ogrodu ze srebrnymi świerkami i szpalerem grabowym, krzewami magnolii i berberysu. Od ulicy oddzielało murowane ogrodzenie o żeliwnych sztachetach i takąż brama o dwu skrzydłach gościnnie otwartych. Szereg

starych drzew jesionów i kasztanowców do dzisiaj jeszcze mówi o ważności tego dworu. Spod portyku było wejście do apteki i ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Szałwia się czerwieniła, aksamitki złociły, tylko trawa nie zawsze miała czystość i soczystość zieleni. Przerastał ją gęsto ptasi rdest, mniszek lekarski i babka lancetowata. Zwłaszcza ptasi rdest lubił sobie pohulać i wszędzie było go pełno.

To okno było moim ulubionym miejscem, zwłaszcza, że pod biurkiem, z mnóstwem ciekawych szuflad, było mieszkanie dla lalek. Teraz wszystkie uchwyty od szuflad były wyrwane, zameczki tudzież i tylko jedna szuflada nie została otwarta przez złodziei. Mama mówiła, że to cud. Właśnie w niej przechowywała biżuterię i w szkatułce relikwię - pamiątkę z pielgrzymki do Rzymu w 1925 roku. Tą świętością był gwóźdź ręcznej roboty, wykonany na wzór tych, którymi przybito Chrystusa do krzyża. Dokument po łacinie objaśniał i zaświadczał, że został potarty o prawdziwy, Chrystusowy. Mama owinęła go w jedwabną chusteczkę i tylko czasem nam pokazywała. Fakt - tylko ta szuflada nie została zbeszczeszczona. Relikwię tę przechowuję ze czcią i przekażę któremuś z wnucząt.



Rodzina Fabijańskich w ogrodzie. Tata Józef, Witek, Ela, Julek, ja, mama Eleonora, Zamość 1936 r.

Po naszym powrocie przybyło polskie wojsko i rozłożyło się taborem w parku. Stały namioty, żołnierze jakby na luzie, a jednak czuwali - siedzieli na trawie, chodzili. W pewnym momencie w bramę wjechał kałmuk na małym, zwrotnym koniu. Miał na sobie szynel wojskowy z wiszącymi strzępami, które zwisały dołem, jak frędzle, na sznurku zwiślał bagnet, na głowie barankowa, kozacka (?) czapa typu papacha. Miał twarz azjaty, o wydatnych kościach policzkowych, płaskim, szerokim nosie i szparkowatych oczach. Miał w ręku pistolet, nagan rosyjski. Wyciągnął prawą rękę w górę i każąco krzyknął - „Ruki w wierch”! - Zaskoczeni żołnierze podnieśli się niepewnie i powoli unieśli ręce do góry na znak poddania się. Widać było osłupienie i przerażenie na twarzach. Może spodziewali się raczej Niemców, przecież z Sowietami nie mogli walczyć, bo taki był rozkaz Rydza-Śmigłego. Za kałmukiem wpadła cała horda dzikusów, którzy rozbrajali Polaków, zdierali im naramienniki z

dystynkcjami, deptali po nich, a odebrane karabiny kazali składać w kozły. Wszystkich Polaków wzięto do sowieckiej niewoli. Pierwszy obóz w Hrubieszowie zorganizowano na dziedzińcu szkół powszechnych, które mieściły się w ogromnym nowym budynku, daleko za mostem Chełmskim, w pobliżu przedwojennych koszar. Chodziłam tam cały rok do szkoły już po tzw. wyzwoleniu w 1944/1945 r.

Do dzisiaj prześladują mnie koszmarne sny związane z drogą, którą musiałam codziennie pokonywać, idąc na skróty dobrych parę kilometrów. Zawsze tam wiało, zwłaszcza na moście, a w czerwcu niemiłosierna spiekota. Niepotrafiła mi tego wynagrodzić malownicza Huczwa, do której od strony ulicy Kilińskiego schodziły pasami ogrody pełne zarośli, pochyłych drzew wierzbowych, kąpiących się malowniczo w wodzie, na której kołysały się tu i tam małe czółna przywiązane linkami do drewnianych słupów i pomostów niczym w Wenecji. To do dziś bardzo piękny zakątek. Ulica Kilińskiego ma miękkość łuku, powtarzając zakole Huczwy. Od frontu domy przeważnie drewniane, stare, z ganeczkami i ogródki kwiatowe, za domami zieleń sadów schodzących aż do rzeki. Nie wiem doprawdy dlaczego w moich snach jest coś lękliwego, zwłaszcza w tym pokonywaniu mostu. – Tak często mi się śni...

*Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.*

---

### **Poprzednie części wspomnień:**

*Z rodzinnego albumu. Zamość.*

*Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.*

*Polskie siedziby rodzinne. Czumów.*

### **Wywiad:**

## *Historia w karetach zaklęta*

**TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA** ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The transport Museums”, miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.



---

# Klasztor miłosierdzia

**z reżyserem Jackiem Raginisem-Królikiewiczem o inscenizacji dramatu Romana Brandstaettera „Dzień gniewu” - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka**



Jacek Raginis-Królikiewicz w programie telewizyjnym „Ocaleni”

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:**

**„Dzień gniewu” to sztuka Romana Brandstaettera, która powstała w 1962 roku. Spektakl Teatru Telewizji, o tym samym tytule został zrealizowany w 2019 roku. Co Pana zainspirowało, żeby zająć się inscenizacją tej właśnie sztuki?**

**Jacek Raginis-Królikiewicz:**

Z twórczością Romana Brandstaettera spotkałem się wiele lat temu, czytając jego

znakomitą czterotomową powieść „Jezus z Nazaretu”. Wiedziałem, że autor jest wybitnym prozaikiem, poetą i tłumaczem. Nie miałem pojęcia, że jest także dramaturgiem. Kiedy w 2018 roku zrealizowałem spektakl „Inspekcja” o losach polskich oficerów w sowieckim obozie jenieckim przed zbrodnią katyńską, szukałem materiału, który pozwoliłby mi zrealizować równie mocny i głęboki temat. Interesował mnie motyw kuszenia i wyboru w sytuacji ekstremalnej. Wtedy jeden z moich znajomych wskazał mi dramat Brandstaettera „Dzień gniewu” nazywając ten utwór zapomnianym arcydziełem. Rzuciłem się na tę lekturę i zwłaszcza scena kulminacji mnie poraziła. Pomyślałem – muszę to zrobić. W ciągu kilku dni napisałem zarys adaptacji.

**Sztuka ta uruchamia emocje, prowokuje do rozważań na temat wartości życia i granic, których nie wolno przekroczyć, a także zaskakuje, bo nie wszystko jest oczywiste. Na ile jest to wierna inscenizacja, a na ile Pana reżyserska interpretacja?**

Moja adaptacja w dużej mierze polegała na skrótach, które nie zagubią istoty dramatu. Spektakl, który trwa 2,5 godziny, musiałem pokazać w ciągu 85 minut. Swoją sztukę Brandstaetter opatrzył dedykacją *Pamięci Polaków, którzy za pomoc i schronienie udzielone Żydom podczas okupacji zginęli śmiercią męczeńską z rąk hitlerowskich Kainów*. Umieścił to na stronie tytułowej swojego dramatu.

Ta dedykacja była dla mnie drogowskazem. Dlatego zdecydowałem się poprzedzić właściwą akcję spektaklu sceną prologu, w której Born czyta autentyczny rozkaz gubernatora Hansa Franka z października 1941 r. na mocy której każdy, kto ukrywa Żyda lub udzieli mu pomocy zostanie ukarany śmiercią. Takie prawo obowiązywało w czasie wojny w Polsce. Ale tak poważne represje nie obowiązywały w tym czasie nigdzie indziej w Europie. Dlaczego Niemcy naziszi uznali, że w Polsce należy je wprowadzić? Z pewnością, dlatego, aby zdecydowanie ograniczyć skalę spontanicznej pomocy Polaków dla Żydów. Tym niemniej Polacy ukrywali Żydów za cenę własnego życia. To właśnie zawarłem w scenie prologu. Zależało mi, aby młode pokolenie w Polsce, które o wojnie nie wiele już wie, ale także zagraniczna widownia mieli świadomość z jak wielkim ryzykiem i z jak poważnym dylematem będą się mierzyć główni bohaterowie dramatu. To nie był prosty wybór moralny, to było realne zagrożenie życia. W mojej adaptacji *pointa* odbiega od oryginału, choć jestem

przekonany, że jest zbieżna z przesłaniem autora.



„Dzień gniewu”, Teatr Telewizji, 2019 r. reż. Jacek Raginis Królikiewicz.

**W sztukach Romana Brandstaettera często centralnym punktem, wokół którego toczą się losy bohaterów jest *metanoia*, czyli duchowa przemiana. Bohaterowie odkrywają na nowo siebie, dostrzegają coś, czego nie widzieli wcześniej. Wbrew logice, naciskom otoczenia idą drogą, którą właśnie zobaczyli. Na ile, według Pana, jest to sztuka współczesna o uniwersalnym przesłaniu?**

Sztuka Brandstaettera rozgrywa się w czasie drugiej wojny światowej, ale jestem przekonany, że jest dziś aktualna na wielu poziomach. Przede wszystkim ukazuje szanse i trudności w porozumieniu między ludźmi o przeciwstawnych poglądach, z odmiennych środowisk. To opowieść o spotkaniu z Innym, Obcym, o umiejętności dostrzeżenia w przeciwniku człowieka. Nawet zbrodniarz, choć zdeprawowany i przepełniony nienawiścią, okazuje się osobą pełną głębi i na swój sposób wrażliwą. To jest pytanie czy na dnie zatracenia jest możliwa owa *metanoia*. Dla mnie to też przejmujący i bolesny tekst o rozmowie między Żydami a Polakami, między

wyznawcami chrześcijaństwa i judaizmu, o wzajemnych relacjach. Ale jest to też tekst o rozpacz, odrzuceniu wiary w Boga w obliczu ogromu cierpień. To co mówi młody Żyd Emanuel Blatt, było dla mnie równie przejmujące jak słowa ojca Paneloux w „Dżumie” Camusa, po tym jak towarzyszył bolesnej śmierci niewinnego dziecka. „Dzień gniewu” postrzegam jako jeden z najwybitniejszych dzieł światowej literatury.

**W spektaklu widać inspirację średniowiecznymi misteriami pasyjnymi, ale i też antyczną tragedią z chórem zakonników, którzy niczym chór helleński komentują wydarzenia. Czy trudno uzyskać efekt teatralny pracując w warunkach telewizyjnych?**

Postawiłem sobie zupełnie inny cel. Zależało mi na tym, aby widz miał poczucie, że ogląda nie teatr, ale film *par excellence*. Nie tylko film, ale także znakomicie skonstruowany, trzymający w napięciu *thriller*. Ale zarazem „Dzień gniewu” jest dramatem misteryjnym, w którym ważną rolę odrywa Chór Ojców wyśpiewujący niczym w antycznym dramacie poetyckie komentarze do akcji. Pisząc scenariusz doszedłem do wniosku, że te właśnie fragmenty powinny być zaśpiewane w konwencji chorału gregoriańskiego, oddając specyfikę miejsca, w którym autor umieścił akcję „Dnia gniewu”. W zrealizowaniu tego celu bardzo pomogli mi śpiewacy zespołu muzyki dawnej „Bornus Consort”, jedni z najwybitniejszych wykonawców chorału w Polsce i Europie, zwłaszcza Marcin Bornus-Szczyński i Stanisław Szczyński. Skomponowali genialną muzykę, ale też wystąpili w spektaklu jako aktorzy.





„Dzień gniewu”, Teatr Telewizji, 2019 r. reż. Jacek Raginis Królikiewicz, w roli przeora Radosław Pazura

**Roman Brandstaetter urodzony w rodzinie żydowskiej, a zarazem polski patriota i katolik bardzo dobrze znający Biblię, ukazał w „Dniu gniewu” relacje polsko-żydowsko-niemieckie w czasie drugiej wojny światowej. Czy uważa Pan, że dzieło teatralne jest na tyle nośne, aby wpłynąć na zmianę wizerunku Polaka-antysemity i używania stereotypowego sformułowania „polskie obozy koncentracyjne”?**

Mam nadzieję, że „Dzień gniewu” przyczyni się do zmiany tego krzywdzącego stereotypu. Kilkadziesiąt tysięcy Żydów, którzy ocalili z Holocaustu, przeżyli dlatego, że pomogli im Polacy. Aby jeden Żyd przetrwał kilka lat niemieckiego terroru, potrzebna była różnego rodzaju pomoc około dwudziestu Polaków. Każdy z pomagających ryzykował Życiem. Śmierć groziła jemu samemu i całej jego rodzinie. Ale wśród Polaków byli też donosiciele, zbrodniarze i szmalcownicy, znacznie mniej liczni, wywodzący się głównie ze środowisk kryminalnych. W dramacie Brandstaettera jedną z ważnych postaci jest Polka, która jest antysemitką i posługuje

się szantażem i donosem. Trzeba o tym mówić. Warunkiem porozumienia jest dialog i mówienie trudnej nieraz prawdy, ale przede wszystkim tworzenie szans na poznawanie się nawzajem. Cieszę się, że w Polsce jak grzyby pod deszczu powstają festiwale kultury żydowskiej, że polskie filmy są pokazywane w Izraelu, że rozwija się współpraca gospodarcza. Myślę, że im lepiej się poznamy tym większa szansa na to, że wyjdziemy poza zaklęty krąg uprzedzeń i stereotypów.

**Spektakl „Dzień gniewu” był już pokazywany w różnych miejscach na świecie i otrzymał Pan za niego wiele nagród. Proszę o tym opowiedzieć.**

Trzeba pamiętać, że nasza produkcja ma charakter kameralny, z budżetem około 250 tysięcy dolarów. Świadomie ograniczyliśmy inscenizację, a akcja filmu rozgrywa się praktycznie w jednym obiekcie. Premiera miała miejsce w Telewizji Polskiej w listopadzie 2019 r. Nie jesteśmy obecni więc na festiwalach premierowych, raczej mniejszych festiwalach filmów niezależnych poza Polską w USA, w Kanadzie, we Włoszech nawet w Indiach. Wiele skomplikowała pandemia, część festiwali odwołało konkursy, inne odbywają się on-line lub w formule hybrydowej. Jak dotąd „Dzień gniewu” znalazł się w kilkudziesięciu filmowych konkursach na całym świecie. Już samo przebicie się do oficjalnej selekcji na zagranicznych festiwalach, spośród tysięcy filmów z całego świata - traktuję jako sukces. Prawdziwy deszcz nagród spadł na nas ostatnio na *Hollywood Divine International Film Festival* w Camp Hill, w Pensylwanii, gdzie „Dzień gniewu” został nagrodzony jako *Best Picture*, za najlepszą reżyserię, za najlepszą rolę męską i najlepszą rolę kobiecą. Nagrody, które otrzymaliśmy za granicą, udowadniają, że udało się nam opowiedzieć uniwersalną historię, która angażuje widza, także takiego, który nic nie wie o polskiej historii.

Szczególnie mnie cieszą nagrody dla aktorów, dla Radka Pazury który zagrał Przeora (*Canadian International Faith & Family Film Festival 2020, Canada, Toronto - Best Leading Actor*), Janka Marczewskiego w roli Żyda Blatta (*Hollywood Divine International Film Festival 2020, Camp Hill, w Pensylwanii*) czy Natalii Rybickiej jako Julii (*Hollywood Divine*). Mamy świetnych aktorów i cieszę się, że są doceniani za granicą.



„Dzień gniewu”, Teatr Telewizji, 2019 r. reż. Jacek Raginis Królikiewicz.

**Innym spektaklem Teatru Telewizji, również nagradzanym była „Inspekcja”, o której Pan już wspominał. W przygotowaniu tego spektaklu brał jeszcze udział Pana tata, reżyser Grzegorz Królikiewicz.**

To prawda. Ojciec był wtedy bardzo doświadczonym reżyserem i profesorem w łódzkiej szkole filmowej. Pisał ten dramat kilka lat, miał zamiar go reżyserować. Na kilka miesięcy przed realizacją zaprosił mnie do współpracy nad scenariuszem. Ja sam jestem absolwentem studiów historycznych, raz jeszcze sięgnąłem po źródła i opracowania historyczne na ten temat. Pojawiły się nowe wątki i postaci - na przykład bardzo ważna postać Stanisława Swianiewicza, który uniknął śmierci i napisał wstrząsające wspomnienia „W cieniu Katynia”. Udało się też dotrzeć do nowych informacji na temat majora Wasilija Zarubina, który rozpracowywał polskich oficerów. Byłem też odpowiedzialny za obsadę i kompletowanie ekipy. W czasie przygotowań do realizacji mój ojciec zmarł. To był wstrząs. Postanowiłem kontynuować nasz wspólny projekt, choć wiele musiało ulec zmianie. Z pewnością dla nas wszystkich zdjęcia, w których uczestniczyli także byli studenci mojego ojca,

okazały się remedium na stratę i aktywnie przeżywaną żałobą. To było coś więcej niż zwykły plan filmowy. Kiedy w 2018 roku odbierałem nagrodę Grand Prix za „Inspekcję” na Festiwalu Spektakli Telewizyjnych i Radiowych „Dwa Teatry” w Sopocie, miałem poczucie wielkiej satysfakcji, zarazem i ogromnej straty. Żałowałem, że na moim miejscu nie stoi mój ojciec.

### **Czego nauczył Pana ojciec?**

Wielu rzeczy. Zafascynował mnie historią. Oprócz filmów fabularnych, zrealizował wiele historycznych widowisk telewizyjnych. Był wyjątkowym erudytą. Poszedłem na studia historyczne, aby móc kompetentnie stawić mu czoła podczas naszych ostrych sporów i kłótni na temat przeszłości. „Zainfekował” mnie też filmową pasją. Ale przede wszystkim nauczył patrzenia na rzeczywistość w kategoriach paradoksu. Sam był pełen sprzeczności. Był długodystansowcem z temperamentem sprintera. Wciąż powtarzał: „Pracuję dla przyszłości”, a zarazem był silnie zakorzeniony w przeszłości, w której szukał źródeł naszego etosu i tożsamości.

**Nosi Pan też nazwisko „Raginis”, po słynnym członku rodziny kapitanie Władysławie Raginisie, który zginął śmiercią samobójczą nie składając broni, pod Wizną we wrześniu 1939 r. Miejsce to zwane jest polskimi Termopilami. Jest tam teraz tabliczka z napisem: *Przechodniu, powiedz Ojczyźnie, żeśmy walczyli do końca, spełniając swój obowiązek*. Czy był jakiś szczególny moment, który wpłynął na Pana decyzję, aby przyjąć jego nazwisko?**

To był powolny proces. Mówiąc żartem wychowałem się na powieściach indiańskich, gdzie młody wojownik musi odnaleźć swoje dorosłe imię. Mówiąc poważnie w domu pamięć o Władysławie Raginisie była zawsze rodzinną legendą. To był wuj mojej mamy, której rodzina pochodziła z kresów. Zginął bezpotomnie. W 1969 roku mój ojciec jako początkujący reżyser nakręcił dokument p.t. „Wierność”, w którym wystąpili byli żołnierze kapitana Raginisa. Ja sam jako dziennikarz i reżyser krótkich dokumentów telewizyjnych miewałem spotkania z ludźmi z półświatka i potrzebowałem jakieś formy kamuflażu. Zacząłem więc podpisywać się Jacek Raginis. Z czasem zacząłem regularnie używać tego artystycznego pseudonimu. Po części dlatego, by przywrócić pamięć o dzielnym kapitanie, po części dlatego, że



uznałem, że w polskim filmie wystarczy jeden Królikiewicz. Kiedy w Wiźnie udało się odnaleźć miejsce pochówku kapitana Raginisa i doszło do ekshumacji, zostałem poproszony o przeprowadzenie badań DNA, które potwierdziły moje pokrewieństwo z kapitanem. Na oficjalną zmianę nazwiska zdecydowałem się dwa lata temu, po śmierci mojego ojca, po zrealizowaniu „Inspekcji”.

**W Pana dorobku, jako reżysera widać, że nie boi się Pan trudnych, historycznych, rozliczeniowych tematów. Czy myśli Pan już o kolejnej realizacji?**

Nie chciałbym się wypowiadać na temat niezrealizowanych projektów. Mogę tylko powiedzieć, że wciąż siedzę w tematach historycznych, ale zarazem intensywnie poszukuję współczesnego scenariusza, licząc na to, że udział w kolejnym festiwalu czy kolejny wywiad doprowadzi mnie do scenarzysty lub tekstu, na który czekam od lat. Łatwo mnie znaleźć na Facebooku. Zapraszam do kontaktu.

---

**Od redakcji: Zainteresowanych rozmową z Jackiem Raginisem-Królikiewiczem zapraszamy na Q&A w poniedziałek, 9 listopada o godzinie 21.00 czasu polskiego. Szczegóły na platformie Austin Jewish Film Festival: <https://austinjff.org/2020-festival/>**

---

„Dzień gniewu” spektakl Teatru Telewizji, inscenizacja dramatu Romana Brandstattera, 2019 r. reż. Jacek Raginis-Królikiewicz, scen: Jacek Raginis-Królikiewicz, obsada: Radosław Pazura (Przeor), Rafał Gąsowski (SS-man Born), Daniel Olbrychski (AK-owiec), Jan Marczewski (Emanuel Blatt), Natalia Rybicka (Julia Chomin).

## **DZIEŃ GNIEWU (2019)**

### **Nagrody:**

Overcome Film Festival 2020, Anaheim, Kalifornia, USA – Award Winner: Best Story in a Feature Film

Hollywood Divine International Film Festival 2020, Camp Hill, PA, USA - Award Winner in categories:

Best Picture (Feature Film over \$150K) ;

Best Director (Feature Film) - Jacek Raginis-Królikiewicz;

Best Best Lead Actor (Feature Film) - Jan Marczewski as Emanuel Blatt;

Best Best Lead Actress (Feature Film) - Natalia Rybicka as Julia.

International Catholic Film and Multimedia Festival „KSF Niepokalana” 2020, Józefów, Poland -

Award Winner, Best Feature Narrative

Canadian International Faith & Family Film Festival 2020, Toronto, Canada - Best Film Award

Canadian International Faith ; Family Film Festival 2020, Canada, Toronto - Best Leading Actor for Radosław Pazura

Calcutta International Cult Film Festival 2020, Calcutta, India - Best Narrative Features (May 2020 edition)

New York International Film Awards 2020, New York, USA - Award Winner, Independent Feature Production for (June 2020 Edition)

Tagore International Film Festival 2020, Bolpur, India - Award Winner, Category: Film on Religion (May 2020 Edition)

Tagore International Film Festival 2020, Bolpur, India - Outstanding Achievement Award, Category: Narrative Feature (May 2020 Edition)

### **Niminacje / Finalist**

Hollywood Gold Awards 2020, USA

Rome Independent Prisma Awards 2020, Italy

MELECH Tel-Aviv International Film Festival 2020, Izrael

Florence Film Awards 2020, Italy

BLOW-UP International Arthouse Filmfest, Chicago, USA

## **INSPEKCJA (2018)**

### **Nominacje/ Finalist**

- 2019 Green Mountain Christian Film Festival - Finalist
- 2018 Budapest Independent Film Festival - Finalist

### **Nagrody i wyróżnienia:**

- 2018 Sopot (Festiwal Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej „Dwa Teatry”) - Grand Prix
- 2018 Warszawa (Międzynarodowy Festiwal Filmów Historycznych i Wojskowych) - „Srebrna Szabla” w kategorii filmu fabularnego
- 2018 Nowy Jork (Festiwal Polskich Teatrów Telewizji) - Grand Prix

---

# **Wierzę w ciężką pracę**

**Rozmowa z Philippe Tłokińskim, odtwórcą roli Jan Nowaka-Jeziorańskiego w filmie „Kurier”.**



Philippe Tłokiński, fot. Agencja „Studio Gama”.

**Bożena U. Zaremba:**

**„Kurier” traktuje o jednym z najbardziej tragicznych wydarzeń polskiej historii, Powstaniu Warszawskim, ale film nie do końca jest na serio - to trochę połączenie Jamesa Bonda i Indiana Jones’a.**

**Philippe Tłokiński:**

Pierwszy raz spotkałem się z porównaniem do Indiana Jones’a [*śmiech*]. Jeżeli chodzi

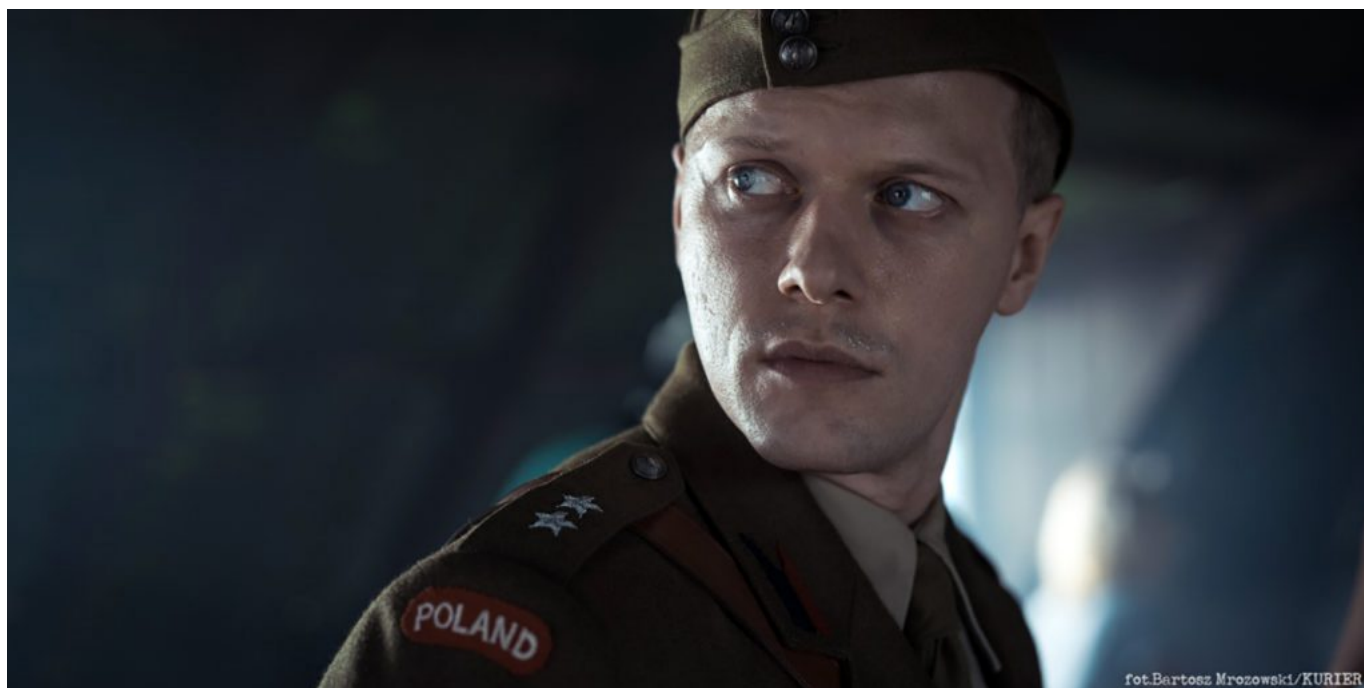
o temat poruszony w filmie, to rzeczywiście dotyka on ważnych wydarzeń z historii Polski. Z drugiej strony „Kurier” nie opowiada o Powstaniu Warszawskim. Traktuje raczej o jego kulisach. Znamy zakończenie tej historii, ale zawsze pozostanie pytanie, czy decyzja o podjęciu powstania była słuszna. Mimo powagi tematu, twórcy chcieli zrobić kino atrakcyjne.

### **Jak doszło do tego, że zagrał Pan w tym filmie?**

Zostałem zaproszony na casting, który miał kilka etapów. Konkurencja była duża. W końcu dostałem propozycję. Lubię swój zawód i długo nie odmawiałem ról, również w kinie studyjnym, artystycznym. Liczyło się zdobywanie doświadczenia. Dzięki temu trafiłem na plan „Nocy Walpurgii” Marcina Bortkiewicza – bardzo ważnej produkcji w mojej karierze. Na początku pracowaliśmy właściwie za darmo, zależało nam na tym projekcie. Dopiero potem dostaliśmy dofinansowanie. „Kurier” to była wspaniała rola i to pod okiem mistrza kina polskiego.

### **Co Pana pociągało w postaci głównego bohatera?**

Przed rozpoczęciem filmu mało znałem Jana Nowaka-Jeziorańskiego, zresztą podejrzewam, jak większość Polaków. Na castingu musiałem przygotować długie monologi, w tym ten wypowiedziany w komendzie głównej AK. Nie były one wcale łatwe do zagrania, ale ten materiał bardzo mi się spodobał. Kiedy wiedziałem już, że zagram w „Kurierze”, zgromadziłem mnóstwo książek dotyczących nie tylko samego Nowaka-Jeziorańskiego, ale i czasów, w których żył.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

### **Urodził się Pan we Francji. Na ile, więc znana była Panu historia i kultura Polski?**

Rodzice są Polakami, w domu rozmawialiśmy po polsku. Podczas, gdy wszyscy moi znajomi jeździli na wakacje do Włoch, my spędzaliśmy je w Polsce. W Genewie, gdzie mieszkaliśmy, jest duża społeczność polska, istnieje polski kościół, wokół którego ludzie się gromadzą. Styczność z kazaniem podczas mszy, spotkania z Polakami, umożliwiły mi kontakt z tradycją, kulturą i językiem, który jest kluczem do wszystkiego.

### **Co zadecydowało o pójściu w kierunku aktorstwa?**

To był pewien proces, który działał się krok po kroku. Nie wiedziałem od dziecka, co chcę robić w życiu. Nie chcę, żeby to zabrzmiało pretensjonalnie, bo mam, wobec tego, co się stało dużo pokory, ale to nie ja wybrałem teatr, tylko teatr mnie wybrał. Lubiałem zajęcia z teatru, dobrze mi na nich szło. Pomyślałem wtedy – dlaczego nie scena. Mój ojciec, z kolei, był zawodowym piłkarzem i podobną karierę wymarzył sobie dla mnie. Ja sam rozważałem przez chwilę zdawanie na prawo. Tyle, że jak znajomi mnie pytali, co mi się podoba w zawodzie prawnika, okazywało się, że to, co mnie najbardziej pociąga to retoryka, krasomówstwo i publiczne wystąpienie. I mówili mi wtedy: „Ty nie chcesz zostać prawnikiem, ty chcesz być aktorem”



[*śmiech*]. Kiedyś nieśmiało zapytałem profesora, który prowadził zajęcia z teatru, co powinienem wybrać. I on odpowiedział mi, że jego zdaniem byłbym kompletnym głupcem, gdybym nie został aktorem, po czym wyszedł, teatralnie trzaskając drzwiami [*śmiech*]. Dodało mi to odwagi, żeby w końcu odpowiedzieć sobie na pytanie, czego chcę. Profesor był dla mnie takim duchowym ojcem. Mojemu tacie nie udało się pomóc mi w kwestii znalezienia drogi życiowej, ale udało mu się coś innego – odpuścić, porzucić własne ambicje, zrozumieć mnie i wesprzeć.

### **Jednym z wiodących tematów filmu „Kurier” jest kwestia wyboru.**

W pewnym sensie. Główny bohater dostaje rozkaz, z którym się nie zgadza. Kreuje sobie antytezę i dąży do celu, żeby realizować ten drugi scenariusz. Ta sytuacja pokazuje zresztą, jak skłócona była wtedy władza. Później, kiedy Nowak-Jeziorański spotyka młodych ludzi już uzbrojonych i orientuje się, że powstania nie da się zatrzymać, dochodzi do wniosku, że trzeba się poddać losowi i na spotkaniu z dowódcami AK wypowiada opinię, która tak naprawdę zgadza się z tym pierwszym rozkazem. Ta opinia jest „post-powstańcza”, to znaczy ten dialog nie miał historycznie nigdy miejsca w takiej formie, to już jest powiedziane z perspektywy. Ale merytorycznie wszystko się zgadza.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.  
**To bardzo dojrzała wypowiedź.**

Bo jest prorocza. Stanowi odzwierciedlenie tego, co Jan Nowak-Jeziorański napisze w przyszłości. Film tak naprawdę nie broni decyzji o rozpoczęciu powstania, ale pokazuje w jakim duchu została ona podjęta. Bardzo lubię ostatnie ujęcie filmu, kiedy rozpoczyna się powstanie, odwracam się do Partycji Volny i z jakimś żalem pytam: „Idziemy?” I potem wszyscy biegną do światła. Światło oznacza śmierć. I tam nie ma zaskoczenia, bo przecież znamy historię, wiemy, jaki przebieg miało powstanie. Historii nie możemy zmienić, ale możemy ją zrozumieć i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Dzisiaj z perspektywy czasu łatwo powiedzieć, że Powstanie Warszawskie było błędem, bo zginęło tysiące ludzi, a Warszawa została kompletnie zniszczona, ale przecież nikt się tego nie spodziewał.

### **Co według Pana może w tym filmie przemówić do widza zagranicznego?**

Film ten ma być przede wszystkim dobrą przygodą, rozrywką, z elementami kina akcji czy kina szpiegowskiego. Wspomniała Pani o Indiana Jonesie. To jest według mnie dobre porównanie, bo w „Kurierze” jest dużo lekkich scen, robionych z dużym poczuciem humoru. Jest też wiele wymyślonych epizodów, jak na przykład wątek związany z agentką Doris.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.





Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

**Właśnie jej postać bardzo mi przypominała postać Elsy Schneider z trzeciej części „Indiana Jones”, nawet fizycznie aktorki są bardzo podobne i rozwój tego wątku jest podobny, chociaż nie zdradzajmy tutaj, jak się rozwinie.**

Wątek ten został specjalnie wymyślony, dla urozmaicenia fabuły. Reasumując - jest to kino dynamiczne, a przy okazji widz może nauczyć się czegoś na temat historii Polski. „Kurier” spełnia więc dwie podstawowe funkcje kultury: dostarcza rozrywkę i edukuje.

**W następnym filmie z Pana udziałem wcieli się Pan w postać innego sławnego Polaka, matematyka Stanisława Ulama, który między innymi brał udział w tworzeniu broni nuklearnej w USA. Czy może Pan coś powiedzieć już bliższego na temat tego filmu?**

Jeszcze nie widziałem końcowej wersji filmu, więc mogę go ocenić jedynie na podstawie tego, co przeżyłem na planie. Ten film ma w sobie ogromny potencjał. Jest to kino artystyczne, autorskie, podobne w konwencji do „Pięknego umysłu”. Wszechobecna w tym filmie bomba wodorowa jest elementem budującym napięcie, zgodnie z powiedzeniem, że bez konfliktu nie ma teatru. To najbardziej potworna broń, jaką człowiek stworzył i to jest przerażające, że jednym przyciśnięciem

czerwonego guzika może rozwalić cały świat. A paradoks całej tej sytuacji polega na tym, że od wybuchu bomby atomowej w Hiroszynie i Nagasaki do dzisiaj nie było incydentu z bronią nuklearną, że dzięki temu utrzymuje się na świecie pokój, bo wiadomo, że użycie broni wodorowej oznaczałoby koniec naszej cywilizacji.

### **Czy Profesor Ulam miał w związku z tym jakieś rozterki moralne?**

Tak, oczywiście. Hiroszima dla twórców bomby była szokiem, nie mogli pogodzić się z tym, że ich wynalazek został wykorzystany w tak okrutny sposób. A potem kazano im wymyślić broń o jeszcze większej mocy. I Ulam stanął przed dylematem, czy dzielić się wynikami swoich badań.



Kadr z filmu o matematyku Stanisławie Ulamie, fot. Jiri Vurma.

**Obraca się Pan ciągle w tematach historycznych. Ostatnio zagrał Pan jeszcze - w Teatrze Telewizji - postać Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.**

Ta sztuka oparta jest na jego powieści o gułagu „Inny świat”. Temat mroczny – brud, głód i przemoc. Ale moje kolejne filmy nie będą już produkcjami historycznymi.

Wracam do współczesności.

**Włada Pan biegle trzema językami: francuskim, polskim i angielskim...**

...jeszcze znam włoski.

**Popyt na takich aktorów, jak Pan, powinien być, więc spory.**

Znajomość języków daje mi przewagę [*śmiech*]. Jak nie we Francji, to w Polsce, jak nie w Polsce, to w Szwajcarii. Praca aktora jest nieregularna - czasem człowiek jest bardzo zajęty, a potem następuje długa przerwa. Nie patrzę na to, czy rola jest mała czy duża - chcę, żeby zawsze była dla mnie jakimś wyzwaniem, albo chociaż przyjemnością. Wychodzę z założenia, że jak film jest udany to ludzie pójda go zobaczyć, a jak nie, to jest on dla mnie dobrym doświadczeniem. Jest jeszcze jedna ważna dla mnie sprawa: ja nie wierzę w talent, wierzę w ciężką pracę. Jak nie pracujesz nad sobą, to nic z tym talentem nie zrobisz. Nigdy nie słyszałem o talencie, który został zniszczony pracą.

**Ale talent może mieć różne barwy, nie tylko musi oznaczać umiejętność szybkiego przyswojenie sobie tekstu. Można mieć także na przykład talent do pracy, do analizy czy determinacji. W tym kontekście, w czym leży Pana talent?**

Myślę, że jest to właśnie talent do pracy. Bardzo dużo czasu spędzam na uczeniu się tekstu, na przygotowywaniu się do castingu czy jakiejś roli. To jest oczywisty element bycia aktorem, tak jak dla pianisty spędzanie dziesięciu godzin dziennie na ćwiczeniu. Ja to uwielbiam.

**A ćwiczenie też może być pracą twórczą?**

Na tym to polega. Występ jest jedynie końcowym rezultatem tej wielogodzinnej, twórczej pracy. Przy moim zawodzie istotne też jest spotkanie właściwych osób we właściwym momencie i wdzięczność za to, że ktoś dał Ci szansę. Całe moje działanie opiera się na wierze w pracę i w to, że będzie dobrze. Jak miałem okres posuchy, nadzieja była dla mnie bardzo ważna. Propozycja roli zawsze się w końcu pojawia.





„Kurier” w reż. Władysława Pasikowskiego, obsada: Philippe Tłokiński, Julie Engelbrecht, Patrycja Volny, Jan Frycz, Rafał Królikowski, Cezary Pazura, Adam Woronowicz.

**Film będzie pokazywany podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin oraz Festiwalu Polskich Filmów w Miami na Florydzie:**

<https://www.austinpolsishfilm.com/>

<https://www.pffmiami.com/>

---

# Pamięć i wybaczenie

**Rozmowa z siostrą Rut ze Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek w Olsztynie (Ewą Kopicz), wnuczką doktora Józefa Kopicza, psychiatry zamordowanego wraz z pacjentami w Lesie Szpęgawskim w nocy z 16 na 17 października 1939 r.**



Wnuczka zamordowanego doktora Józefa Kopicza, Ewa Kopicz (siostra Rut) przed pomnikiem w Lesie Szpęgawskim.

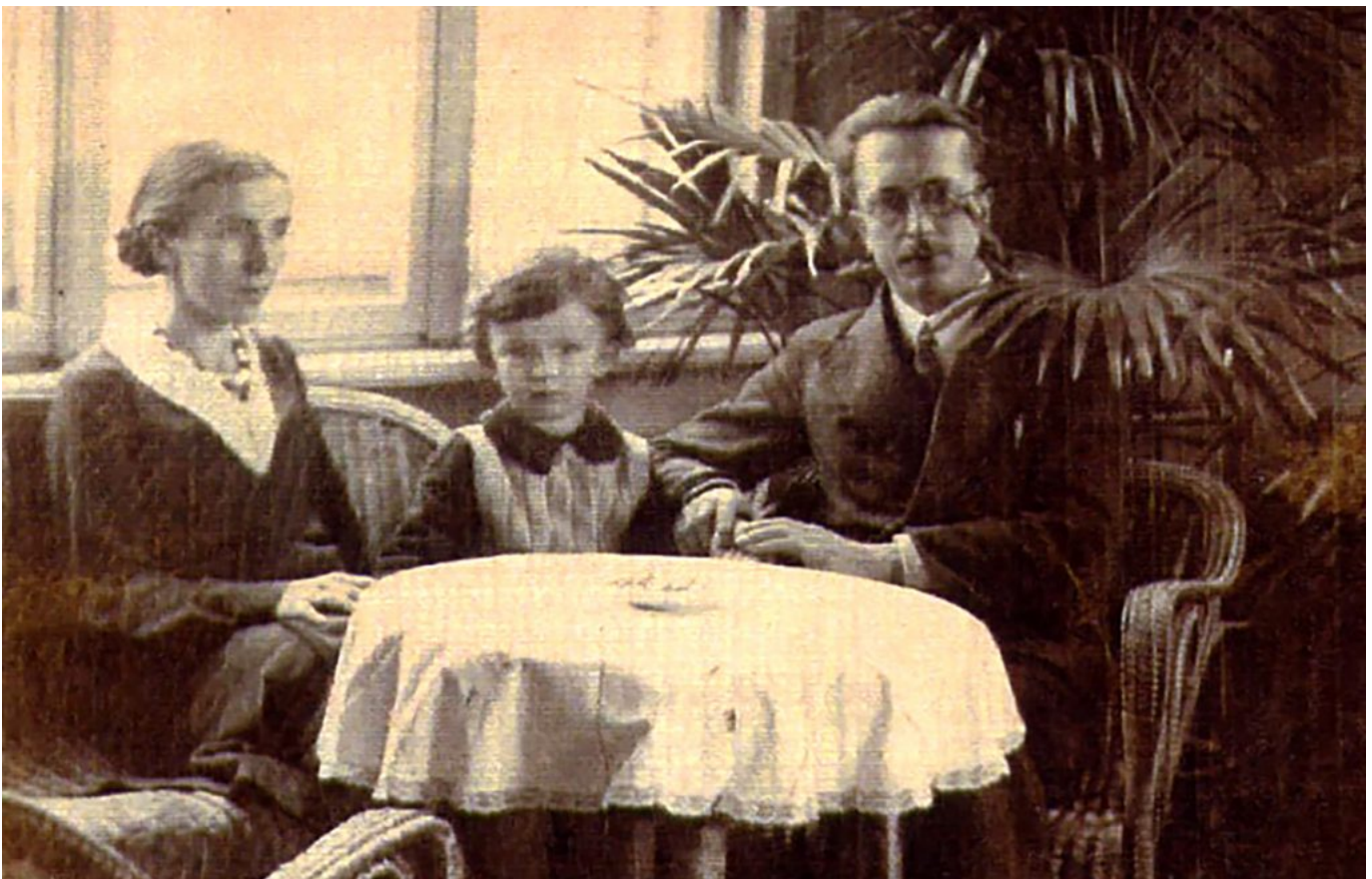
**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Moja babcia Anna z Kopiczów Sokołowska i Twój dziadek Józef Kopicz byli rodzeństwem. Moja babcia zmarła po wyjściu ze



stalinowskiego więzienia w 1953 r. Miała 48 lat. Twój dziadek został zamordowany, gdy miał 37 lat. Ani ja, ani Ty ich nie poznałyśmy. Ale to nie znaczy, że ich nie ma w naszym życiu. Co wiedziałaś o dziadku, gdy byłaś dzieckiem?

**Ewa Kopicz:** Niewiele, bo moje dzieciństwo było zupełnie inne niż obecnie mają dzieci. Ja musiałam być dorosła już w wieku 7 lat. Pamiętam dzień, jak odszedł od nas nasz Tata. Nie rozumiałam dlaczego potem musiałyśmy się z Mamą, wyprowadzić z ukochanego miejsca na Kociewiu, gdzie był nasz dom. Teraz już wiem, że to wszystko było konsekwencją śmierci Dziadka. Tata nie był przygotowany na problemy, które niesie życie, uciekał od nich, nie umiał się z nimi zmierzyć. Nikt go nie nauczył stawiać czoła trudnościom. Jako syn zamordowanego doktora był chroniony przez babcię Halinę, która panicznie się bała, że i jego może stracić. Dlatego jego życie i nasze tak się potoczyło.

**JSG:** Mówiłaś, że kiedyś pojechałaś z Mamą do Kocborowa i zobaczyłaś skrzydło szpitala, w którym było mieszkanie Twoich dziadków. Jak zapamiętałaś tę wizytę?



Doktor Józef Kopicz, z żoną Haliną i synem Adamem, fot. archiwum rodzinne.

**EK:** Zabrałam Mamę do Kocborowa już po wstąpieniu do klasztoru. Ona знаła ten zakład. Mówiła mi gdzie mieszkali dziadkowie, pokazywała okna, które należały do ich mieszkania. Obeszliśmy cały szpital. Potem pojechaliśmy do Szpeęgawska. Wtedy po raz pierwszy Mama opowiedziała mi historię Dziadka. Byłam wtedy z niego taka dumna.

**JSG:** Więcej dowiedziałaś się o Dziadku od siostry Twojego Taty, Ewy Kopicz-Kamińskiej, też lekarza psychiatry, której życie było hołdem oddanym zamordowanemu ojcu.

**EK:** Tak, ale gdy dorastaliśmy, nie utrzymywaliśmy z nią kontaktów. Mama mi powiedziała, że ona nie żyje. Taką informację przekazał jej Tata. Pewnego jednak dnia, Mama zobaczyła Ciocię w telewizji i mi o tym powiedziała, a ja ją odnalazłam. Potem miałam z nią już częsty kontakt. Odwiedzałam ją jak tylko byłam w Warszawie, często rozmawialiśmy przez telefon, byłam przy niej jak chorowała i leżała w szpitalu. Byłam też na pogrzebie.



**JSG:** 28 września byliśmy na premierze filmu „Szpeęgawsk 1939” w reżyserii Sebastiana Bartkowskiego. Jest to wstrząsający, fabularyzowany dokument pokazujący jak wyglądała niemiecka Akcja T4 - eksterminacja pacjentów szpitali psychiatrycznych i Akcja Inteligencja - masowe mordowanie księży i nauczycieli podczas II wojny światowej na Pomorzu. Nie można uwierzyć w skalę tego

bestialstwa. Jak to możliwe, że niemieccy sąsiedzi, wkładając mundur Wermachtu lub SS stawali się katami swoich polskich sąsiadów, z którymi całe lata mieli dobre stosunki, znali ich rodziny, ich problemy. Gdzie zatem jest granica człowieczeństwa? Proszę, podziel się swoimi refleksjami na temat tego filmu.

**EK:** Film „Szpęgawsk 1939” był dla mnie ogromnym przeżyciem. Poczułam się jak wnuczka bohatera, człowieka dla, którego drugi człowiek stanowił wartość taką, za którą warto umrzeć. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” J 15,13-17.

**JSG:** W filmie jest wątek Twojego dziadka. Pokazana jest scena rodzinna, babcia, dziadek, Twój tata Adam i jego siostra Ewa w salonie przy stole, scena w szpitalu, zgłoszenie się w październiku 1939 r. dziadka do szpitala w Kochborowie, a następnie aresztowanie, tortury i śmierć. Jak odebrałaś te sceny?

**EK:** Nie oczekiwałam podobieństwa aktora, ale chciałam spotkać Dziadka, którego nigdy w życiu nie miałam. Myślę, że spotkałam.





Pomnik ku czci pomordowanych w Lesie Szpęgawskim - betonowy las, a wśród drzew ścięte pnie z nazwiskami.





Chciałam tam klęczeć i w ziemię krzyknąć: „Bądźcie spokojni Polska o was nie zapomni”. Modliłam się, wiedząc, że stoję nad grobem mojego Dziadka. Nie martw się Dziadku, daliśmy radę!

**JSG:** Czy wybaczyłaś?

**EK:** Wybaczyłam? Tak, ale nie zapomnę. Będę myśleć o Dziadku bez żalu i będę do niego przyjeżdżać. Dbam też o groby jego dzieci. Modlę się za Nich wszystkich!



W jednym z ponad 30 masowych grobów w Lesie Szpęgawskim leży wraz ze swoimi pacjentami doktor Józef Kopicz.

**Przypisy:** *Doktor Józef Marcei Kopicz, żona: Halina z domu Szybowicz, dzieci: Adam i Ewa Kopicz, synowa: Jadwiga z domu Dorozińska, wnuki, dzieci Adama: Ewa, Nina, Maciej Kopicz.*

*Córka Józefa Kopicza, Ewa Kopicz-Kamińska zmarła bezdzietnie w 2014 roku w*

Warszawie.



Kadr z filmu „Szpeęgawsk 1939”, doktorostwo Kopicz, scena rodzinna. W postać doktora Józefa Kopicza wcielił się Mariusz Mecka, w rolę jego żony Haliny - Ania Lembicz, dwójkę ich dzieci - Adama i Ewę - zagrały Jana Dołęga i Gordon Gadziejewski.

<http://www.cultureave.com/wp-content/uploads/2019/10/10.-Dr-Kopicz.mp3>

### **Utwór „Dr Kopicz” z płyty „Ze strychu... Z Szuflady... Z Piwnicy...”**

Słowa - Mariusz Mecka (filmowy dr Józef Kopicz)

Muzyka - Sławomir Kubkowski

Wokal - Adam Biernat

Gitara- Bartosz Gołębiowski

Gitara basowa - Karol Gołębiowski

Gitara, perkusja - Sławomir Kubkowski





Rodzice: Agnieszka z Danielewiczów i Rudolf Koppitzsch, chłopcy: w środku Józef Marceli Kopicz, z lewej Jan Kopicz, dziewczynki, od lewej lewej Anna później Sokołowska, Maria, primo voto Zdanowicz, secundo voto Kleinert, na dole siedzi Gertruda, później Berszakiewicz, fot. archiwum rodzinne.

**Józef Marceli Kopicz** urodził się 31 stycznia 1902 r. w Lidzbarku Welskim, jako syn Rudolfa Koppitzscha i Agnieszki Danielewicz herbu Ostoja. Był wnukiem Powstańca Styczniowego, Józefa Danielewicza, przybyłego po upadku Powstania z Litwy do Prus Wschodnich. Miał brata Jana i siostry: Marię, Annę i Gertrudę. Dzieciństwo spędził w Lidzbarku Welskim. Jako nastolatek, w latach 1918-19 należał do organizacji wojskowej – Straży Ludowej w Brodnicy. Ukończył wydział lekarski na Uniwersytecie Poznańskim. Uzyskał tytuł doktora medycyny ogólnej i odebrał dyplom 23 grudnia 1925 roku z rąk rektora Uniwersytetu, prof. Antoniego Jurasza. W latach 1925 -1928 roku pełnił funkcję ordynatora Krajowego Zakładu Psychiatrycznego w Świeciu. W

1928 roku przyjął propozycję starosty pomorskiego i podjął pracę na oddziale psychiatrycznym szpitala w Wejherowie. Fascynował się psychiatrią, wciąż poszerzał swoją wiedzę, był też autorem publikacji na temat chorób psychicznych i metod ich leczenia. Zwrócił więc na siebie uwagę doktora Stanisława Kryzana - dyrektora zakładu psychiatrycznego w Kocborowie. Po likwidacji szpitala w Wejherowie dyrektor Kryzan zatrudnił Józefa Kopicza jako swojego zastępcę. W 1933 roku Józef Kopicz objął stanowisko prymariusza w Kocborowie. Przyjechał z żoną Haliną (z domu Szybowicz) i urodzonym w Wejherowie synem Adamem. W 1934 roku w Kocborowie przyszła na świat córka Ewa. Doktor Kopicz oprócz pełnienia funkcji dyrektora do spraw medycznych pracował też na oddziałach VII i XIX. Jego publikacje wskazują na to, że zajmował się psychozami z kręgu schizofrenii oraz psychozami o podłożu zaburzeń somatycznych. Stanowczo sprzeciwiał się eugenicie, Zachowały się też jego publikacje z Tadeuszem Bilikiewiczem - ojcem polskiej psychiatrii.

W sierpniu 1939 roku Halina Kopicz wraz z dziećmi wyjechała na wakacje, Józef Kopicz natomiast zgłosił się do mobilizacji. Nie został jednak wcielony do armii, więc dołączył do rodziny. Po wybuchu wojny wszyscy udali się do Wolsztyna koło Poznania, gdzie mieszkała rodzina żony. Nowa dyrekcja zakładu psychiatrycznego w Kocborowie wydała rozporządzenie wzywające Polaków przebywających poza terenem szpitala, aby zgłosili się do pracy. Józef Kopicz, mimo ostrzeżeń, postanowił wrócić do swoich pacjentów. 15 października zgłosił się do biura, skąd skierowano go na pierwsze piętro do SS- Obersturmführera Karla Braunschweiga. Został aresztowany. Przez dobę trzymano go w budynku dyrekcji i poddawano torturom. Wieszano go za związane z tyłu ręce na haku i bito pasami koalicyjnymi, zakończonymi karabińczykami. Kiedy torturowany tracił przytomność cucono go lejąc na niego wodę. Potem trafił do więzienia w Starogardzie Gdańskim. 17 października 1939 został zamordowany wraz z pacjentami w Lesie Szpęgawskim. Jeden z pacjentów, któremu udało się uciec opowiedział po wojnie, że dr Kopicz stał spokojnie nad dołem, który miał stać się grobem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie próbował ucieczki, został ze swoimi pacjentami do końca.

Córka Józefa Kopicza - Ewa Kopicz-Kamińska (1934-2014) poszła w ślady ojca i została lekarzem psychiatrą. Jej życie było hołdem oddanym ojcu. Tradycję lekarską podjął też syn brata Jana, Marek Koppicz - wybitny kardiolog ze Szpitala

Wojewódzkiego w Koszalinie.

*Joanna Sokołowska-Gwizdka*

**O doktorze Józefie Kopiczu i Akcji T4:**

<https://www.cultureave.com/oddzial-podrozy-do-nieba/>

---

# Wojskowe Szkoły Junaków - mało znany rozdział najnowszej historii Polski



Gen. Władysław Sikorski z wizytą w Heliopolis, w maju 1943, zaledwie na dwa miesiące przed tragiczną katastrofą w Gibraltarze. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Album Kozińskiego.

## **Prof. Adam Czesław Dobroński**

### *Muzeum Wojska w Białymstoku*

Tom napisany przez Henry Radeckiego, Polaka mieszkającego od powojnia w Kanadzie, jest opracowaniem oczekiwanym i oryginalnym. Tytuł *Młdzież Andersa* brzmi nieco tajemniczo, ale podtytuł nie pozostawia wątpliwości. Otrzymaliśmy książkę o polskich szkołach junaków i młodszych ochotniczek, którzy wydostali się z Rosji sowieckiej po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski-Majski. Przeżyli oni dramatyczny czas wywózek z domów rodzinnych, potem wegetowania na odległych obszarach imperium stalinowskiego, zmagania o przetrwanie. Po tak zwanej amnestii zdołali dotrzeć do obozów wojsk polskich gen. Władysława Andersa i dzięki mądrej decyzji przyszłego dowódcy 2 Korpusu Polskiego otrzymali szansę podjęcia nauki. Mieli za dużo lat, by wyjechać do osiedli urządzanych dla dzieci i ich opiekunów (głównie matek) w Australii, Indiach, Meksyku, Nowej Zelandii oraz w kilku rejonach Afryki, ale za mało, by zasilić „z marszu” oddziały wojskowe. Wojsko ich jednak przygarnęło, pomogło w ewakuacji z „kraju niewoli”, zadbało o zrazu trudne, potem znośne, a z czasem dogodne warunki bytowania, stopniowo także o kadrę wykwalifikowanych nauczycieli i wychowawców, z większymi trudnościami również o pomoce szkolne. Jedyne to było takie - unikalne - przedsięwzięcie w okresie II wojny światowej, godne przypominania. Podobnie, jak jedyne na wielką skalę było tajne nauczanie w okupowanej Polsce.





Naoczny świadek bitwy pod Monte Cassino, korespondent wojenny Wiktor Ostrowski przekazuje swoje doświadczenia młodym lotnikom z Heliopolis. Czerwiec 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - autor.

Powstała sieć kilkunastu szkół: łączności - na ich absolwentów czekały niecierpliwie oddziały frontowe, junackich mechanicznych - najliczniejszych, też ściśle powiązanych z wojskiem, w tym czterech gimnazjów i jednego liceum, młodszych ochotniczek -gimnazjalistek i licealistek zasilających Pomocniczą Służbę Kobiet, Gimnazjum i Liceum Lotniczego („Błękitni chłopcy”) - pozostającego pod opieką dowództwa Royal Air Force (RAF), Junackiej Szkoły Kadeckiej - wzorowanej na przedwojennym Korpusie Kadetów, z naciskiem na wiedzę i umiejętności wojskowe, szkół powszechnych - młodszej i starszej, przygotowującej chętnych do szkół zawodowych i gimnazjów, Junackiego Gimnazjum Kupieckiego - kształciło młodzież z myślą o zasileniu kadr handlowych w wolnej Polsce oraz innych jeszcze placówek i kursów. Poza wymienionymi szkołami, którym Henry Radecki poświęcił oddzielne rozdziały, wspomnieć należy jeszcze o Junackim Liceum Drogowym, szkołach powszechnych połączonych z zawodowymi oraz Gimnazjum Kupieckim i Liceum Pedagogicznym dla młodszych ochotniczek. Z przyczyn obiektywnych nie jest

możliwym równie dokładne opisanie wszystkim tych form edukacji, szkół ulokowanych w różnych miejscowościach, często reorganizowanych, otwieranych i zamykanych w różnych latach, zainicjonowanych jeszcze na południu ZSRS (Karkin Batasz, Guzar i Kitabu, Kermine, Wrewskoje).

Szkoły junaków i młodszych ochotniczek wykazywały się ambicjami i osiągnięciami w zakresie zdobywania wiedzy, przygotowywania wychowanków do służby wojskowej, kreowania wydarzeń kulturalnych, organizowania zajęć pozaszkolnych i zawodów sportowych, pożytecznego i przyjemnego zarazem spędzania czasu wolnego, poznawania atrakcyjnych okolic i starożytnych zabytków. Starano się możliwie jak najlepiej, opieką niemal matczyną i ojcowską otoczyć ofiary wojny. Wzruszają i dzisiaj opisy przejawów patriotyzmu w warunkach stałej tęsknoty za wolną Polską, komplikującej się sytuacji politycznej w świecie, narastającego niepokoju, co przyniesie jutro. Szkoły junackie mogły na Środkowym i Bliskim Wschodzie realizować założone cele, pomagały im w tym rozliczne organizacje (przykładem ZHP, „Sodaliczja Mariańska”), zrozumienie i życzliwość wykazały władze brytyjskie. Młodzi z radością witali przedstawiciele Rządu Polskiego i Wojska Polskiego, osoby duchowne, gości budzących nadzieję w sercach, opowiadających o ukochanej ojczyźnie. Sami zaś wzbudzali sympatię wśród miejscowej ludności cywilnej, zadziwiali swą dzielnością, uczynnością, głęboką wiarą. To oczywiste, że pojawiały się i rozliczne trudności, dochodziły także złe wieści, odzywały się dokuczliwości sieroctwa, nawroty chorób.

Henry Radecki postarał się, by zawrzeć w swym tomie bogaty zestaw faktów, co nie było ani łatwe ze względu przede wszystkim na braki źródeł, zaginięcie skrzyń z dokumentami przejętymi przez władze brytyjskie. Autor powracał wielokrotnie do najważniejszych jego zdaniem danych liczbowych, dat i nazwisk, schematów organizacyjnych i wniosków. Czynił to kierując się pragnieniem, by czytelnicy w Polsce dobrze zapamiętali niezwykle dzieje wyjątkowych szkół, wczuli się w tamte realia i marzenia, radości i smutki. Radecki dodał – co bardzo ważne – oryginalne oceny i szacunki, które częściowo różnią się od dominujących w Polsce. Ale i w kraju utrzymują się przecież rozbieżności, na przykład odnośnie liczby obywateli II RP (nie tylko narodowości polskiej) wywiezionych w latach 1939-1941 przez okupantów sowieckich, także procentowych szacunków osób zmarłych i zaginionych na „niehumanitarnej ziemi”. W trakcie prac redakcyjnych postanowiliśmy pozostawić

niektóre terminy utrwalone w środowiskach emigracyjnych (przykładem kampania wrześniowa 1939 r.), jak najmniej ingerować w styl narracji autora, w pierwotny układ książki.



Wizyta zespołu teatralno-kabaretowego w Heliopolis. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Album Kozińskiego.



Niespodziewany wylew Nilu zatopił obóz w Heliopolis. Ucierpiały namioty sypialne, ale uratował się dwupłatowiec. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Tom ten ma charakter monografii, ale jest jednocześnie i dokumentem, powstawał długo i sędzę, że pozostanie ostatnią publikacją napisaną przez polskiego junaka czasów II wojny światowej. Autor utrzymywał przez dziesięciolecia więzi z koleżankami i kolegami z opisywanych szkół, prowadził ofiarnie poszukiwania materiałów, gromadził pamiątki historyczne. Pisząc książkę wykorzystywał zebrane relacje i odnalezione dokumenty, opracowania (głównie emigracyjne) i artykuły prasowe, także jednak wplatał w tekst własne refleksje. H. Radecki dołączył do junaków w kwietniu 1942 r., przebył szlak od opuszczenia Związku Sowieckiego przez Persję (Iran), Palestynę do Egiptu. Nie powrócił do Polski, za to aktywnie uczestniczył w życiu emigracji i nadal opiekuje się „Pokojem Andersa” w Wawel Villa w Mississaudze, części wielkiego Toronto. To tam zrodziła się przed rokiem myśl wydania tej książki przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie we współpracy z Muzeum Wojska w Białymstoku.

Absurdem byłoby streszczanie zawartości *Młodzieży Andersa*, natomiast chciałbym wskazać na wydane w Polsce opracowania dotyczące szkół junackich. Było ich nie tak wiele, często nie obejmowały wszystkich wątków, ale warto po nie sięgać. Żyjący

w kraju byli uczniowie i wychowankowie szkół junaków i młodszych ochotniczek też w miarę możliwości podtrzymywali kontakty między sobą, co stawało się coraz łatwiejsze od lat siedemdziesiątych XX stulecia. Ich dzieje wplotły się w legendę Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ta nabrała blasku po 1989 r.

Z pozycji najdawniejszych, wydanych jeszcze w PRL, należy wspomnieć opracowanie Tadeusza Bugaja: *Obozy i szkoły junackie dla młodzieży polskiej na obczyźnie w latach 1941-1947* („Prace Karkonoskiego Towarzystwa Naukowego” 1979, nr 13) oraz Witolda Lisowskiego: *Polskie korpusy kadetów 1765-1956. Z dziejów wychowania* (Warszawa 1982 r.; tenże autor opublikował artykuł o kadetach na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego”, 1987, nr 3). Znacznie szerzej temat swej książki zakreślił Jan Draus: *Oświata i nauka polska na Bliskim i Środkowym Wschodzie 1939-1950* (Lublin 1993). Mniej lub bardziej rozbudowane informacje o szkołach junaków i młodszych ochotniczek podawali autorzy monografii Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a przykładem może być tom Piotra Żaronia: *Armia Andersa* (Toruń 2000). Materiał o szkołach junackich w Nazarecie i Barbarze zawiera także album *Tułacze dzieci* (Warszawa 1995).



Uczennice Gimnazjum Kupieckiego witane przez dyrektora oddziału banku PKO (Pocztowa Kasa Oszczędności) w Tel Awiwie. Hebrajski napis świadczy, że bank służył przedwojennym polskim emigrantom żydowskiego pochodzenia. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - autor.

W 2001 r. ukazał się pierwszy z trzech tomów o wspólnym podtytule: *Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie II wojny światowej*. W tym inauguracyjnym tomie: *Przez burze pod wiatr* (red. T. Zaniewska, Białystok 2001) znalazły się między innymi teksty: Adama Czesława Dobrońskiego o Junackim Gimnazjum Kupieckim, Marii Radomskiej o szkole junaczek i szkołach młodszych ochotniczek w Armii Polskiej na Wschodzie a także Stefanii Walasek o dziejach szkół na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz w Afryce (zarys problematyki). Tom następny: *Światło wśród burzy* (red. T. Zaniewska, N. Pospieszny, Z. Stankiewicz, Białystok 2004) zawierał artykuł A. Cz. Dobrońskiego o III Junackiej Szkole Mechanicznej i przedruk



artykułu W. Lisowskiego o Junackiej Szkole Kadetów (1942-1948). Natomiast tom III nosił tytuł: *Nauczyciele-uczniowie. Solidarność pokoleń* (red. T. Zaniewska, Warszawa 2007) i pomieścił artykuły: A. Cz. Dobrońskiego o obozach letnich dla młodszych ochotniczek oraz Ewy Romanowskiej o rozwoju sportu w polskich szkołach junackich na Bliskim Wschodzie w świetle kronik „Junaka”.

W 2007 r. w nr 32 „Zesłańca” (kwartalnik ZG Związku Sybiraków) Wojciech Narębski opublikował tekst: *Generał Władysław Anders - opiekun młodzieży żołnierskiej*, a M. Radomska: *W 65. rocznicę rozkazu gen. Władysława Andersa o utworzeniu szkół junaczek i junaków w ZSRR*. Rok później ukazała się pozycja: *Polskie dzieci na tułacznych szlakach 1939-1950* (red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2008).



Pamiętna wizyta: Polki z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przyjechały z darami dla młodzieży, przywożąc ręczniki, skarpetki i słodycze. Heliopolis, kwiecień 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - autor.

Za cenne, ostatnio wydane książki, można uznać opracowania między innymi Jacka Pietrzaka: *Polscy uchodźcy na Bliskim Wschodzie w latach drugiej wojny światowej. Ośrodki, instytucje, organizacje* (Łódź 2012); Marka Ney-Krwawicza: *Na pięciu kontynentach. Polskie dzieci i młodzież na tułacznych szlakach 1939-1950* (Warszawa 2014); Edyty Sadowskiej i Beaty Urbanowicz: *Edukacja historyczno-kulturalna w szkołach junaków i młodszych ochotniczek (1941-1948)* (Częstochowa 2015). Przybyło również artykułów, w tym na tematy wykraczające poza oświatę junaków i młodszych ochotniczek, czyli o szkołach działających przy 3 Dywizji Strzelców Karpackich („Szkoła Karpacka”) i 5 Kresowej Dywizji Piechoty oraz kursach maturalnych dla żołnierzy oraz ochotniczek z Pomocniczej Służby Kobiet, a także o szkołach dla młodzieży polskiej powstałych po wojnie we Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Można mieć nadzieję, że odnajdą się jeszcze materiały źródłowe do dziejów szkół junackich w archiwach, muzeach, zbiorach prywatnych i to zarówno w Polsce, jak i w środowiskach emigracyjnych. W zasobach Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Londynie znajdują się dość liczne dokumenty, kroniki i relacje. H. Radecki korzystał z tych zasobów, starałem się i ja je penetrować, a wysiłki te należy kontynuować. Przykładowo wskazać można na kronikę z I Letniego Obozu Wypoczynkowego dla Szkół Junackich w Sidi-Bishr (przedmieście Aleksandrii), zorganizowanego latem 1944 r. (sygn. C.388). Umieszczono w niej kopię listu gen. W. Andersa z 22 lipca:

*Zakończyliśmy zwycięską bitwę pod Ankoną, bijąc się o nią biliśmy się o Polskę. Wierzymy, że pomimo wszystko wykończymy w rezultacie choć kolejno wrogów naszej Ojczyzny...*



Szczęśliwi, już prawie junacy. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Junacka Szkoła Kadetów.

Generał podziękował „kochanym Dzieciom” za „tak bardzo drogą” dla niego pamięć i za listy. Ciekawe są opisy obozów letnich młodszych ochotniczek urządzonych w 1945 r. w Atlicie koło Hajfy, Barbarze, Jerozolimie, Nazarecie i w Ośrodku Uzdrawieńczym w Tyberiadzie (turnusy lecznicze). Stacja Uzdrawieńcza dla uczniów powstała w lutym 1943 r., posiłki wydawano tu pięć razy dziennie, przeprowadzano badania lekarskie, obowiązkowe było leżakowanie, wyjeżdżano na kąpiele zdrowotne siarczane i solankowe. Wychowawcy zapoznawali młodzież z dziejami Ziemi Świętej, prowadzili zajęcia z geografii i historii Polski. Każdy kolejny turnus prezentował przedstawienia teatralne, podtrzymywano więź z osobami duchownymi z okolicznych parafii i zakonów, powiększał się księgozbiór biblioteki, pięknie prezentowała się świetlica (sygn. C 309).

Powstaje pytanie, co można jeszcze zrobić, by skuteczniej spopularyzować szkoły junackie, dowieść ich wyjątkowości? Najłatwiej byłoby opracować i wydać album z uwzględnieniem przynajmniej najważniejszych typów szkół, pokazaniem warunków w jakich one pracowały, zajęć nie tylko szkolnych, składu osobowego kadry i grup

uczniowskich. Utrudnieniem w tym dziele będzie fakt, że znaczna część zachowanych fotografii nie została dokładnie opisana, różna jest też ich jakość. Bardziej pracochłonnym zadaniem będzie zestawienie najważniejszych dokumentów do dziejów szkolnictwa polskiego na Środkowym i Bliskim Wschodzie. Czy można jeszcze liczyć na odzyskanie wspomnianej, utraconej dokumentacji z 41 skrzyń? Okaze się to po dodatkowych kwerendach w archiwach brytyjskich. Do wspomnień wydanych już drukiem trzeba dodać relacje przechowywane w archiwach i zbiorach prywatnych, ale czy to wystarczy na napisanie tomu o dalszych losach „młodzieży Andersa”, ich adaptacji w różnych krajach świata, również w Polsce? Autor takiej publikacji musiałby postawić pytanie, na ile wiedza zdobyta w szkołach junackich pomogła wychowankom w ich życiu dorosłym, w ich karierach zawodowych. Jeszcze trudniejsze pytanie brzmi: czy programy nauczania, zwłaszcza realizowane w omawianych szkołach pod koniec wojny i po jej zakończeniu, były dostosowane do zmieniającej się rzeczywistości politycznej, która praktycznie zamknęła junakom i młodym ochotniczkom drogę do Polski? Bardziej jednoznacznie wypada ocena wysiłków kształtowania charakterów tej społeczności, jej postawy patriotycznej i obywatelskiej. Tej kwestii wiele uwagi poświęcił również H. Radecki.

W latach 1943-1946 szkołę odwiedziło wielu dostojnych gości – generalowie Władysław Sikorski, Kazimierz Sosnkowski, parokrotnie Władysław Anders, pułkownicy Łyżcki i Bobrowski, ministrowie Strasburger i Zazuliński, biskup połowy WP J. Gawlina i wielu innych. Szczególnie częstym gościem był opiekun szkoły gen. Ludomił Rayski, dowódca Polskich Sił Powietrznych na Środkowym Wschodzie. Z okazji tych wizyt w obozie organizowano defilady, podczas których uczniowie przemarszem w dwóch kompaniach przed trybuną honorową oddawali cześć wizytującemu ich Wodzowi Naczelnemu i innym przedstawicielom kadry dowódczej WP oraz wyższym oficerom alianckim.

Вписанъ въ журналъ  
 хроники молодыхъ лётчиковъ  
 и наборщиковъ юнговъ и  
 младш. охотницъ - муж. и  
 жен. - воевавшихъ въ  
 Польскаго В. В.

28. V. 43 D. K. W. S.  
 N. G.

Wpis gen. W. Sikorskiego do  
 kroniki młodych lotników.  
 Źródło: Archiwum Muzeum  
 Orlińskiego - Błękitni  
 chłopcy...



Wpis gen. W. Sikorskiego do kroniki młodych lotników. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Błękitni chłopcy.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Podziękujmy autorowi za jego cenne dzieło, przeczytajmy je starannie i miejmy nadzieję, że po upływie 70 lat od zamknięcia tej pięknej karty oświaty polskiej będą kontynuowane badania nad szkołami junaków i młodszych ochotniczek. Trzeba koniecznie dołożyć starań, by trwale upamiętnić pokolenie „młodzieży Andersa”.

**Fotografie pochodzą z książki „Młodzież Andersa”.**

*Postowie prof. Adama Dobrońskiego do książki Henry Radeckiego „Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947”.*

---

# Świadek pamięci



Pierwsze miesiące gimnazjum w Heliopolis, jeszcze w mundurach junackich. Obok w murowanym budynku znajdowały się klasy szkolne. Marzec 1943. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Album Kozińskiego, fotografia z książki „Młodzież Andersa”.

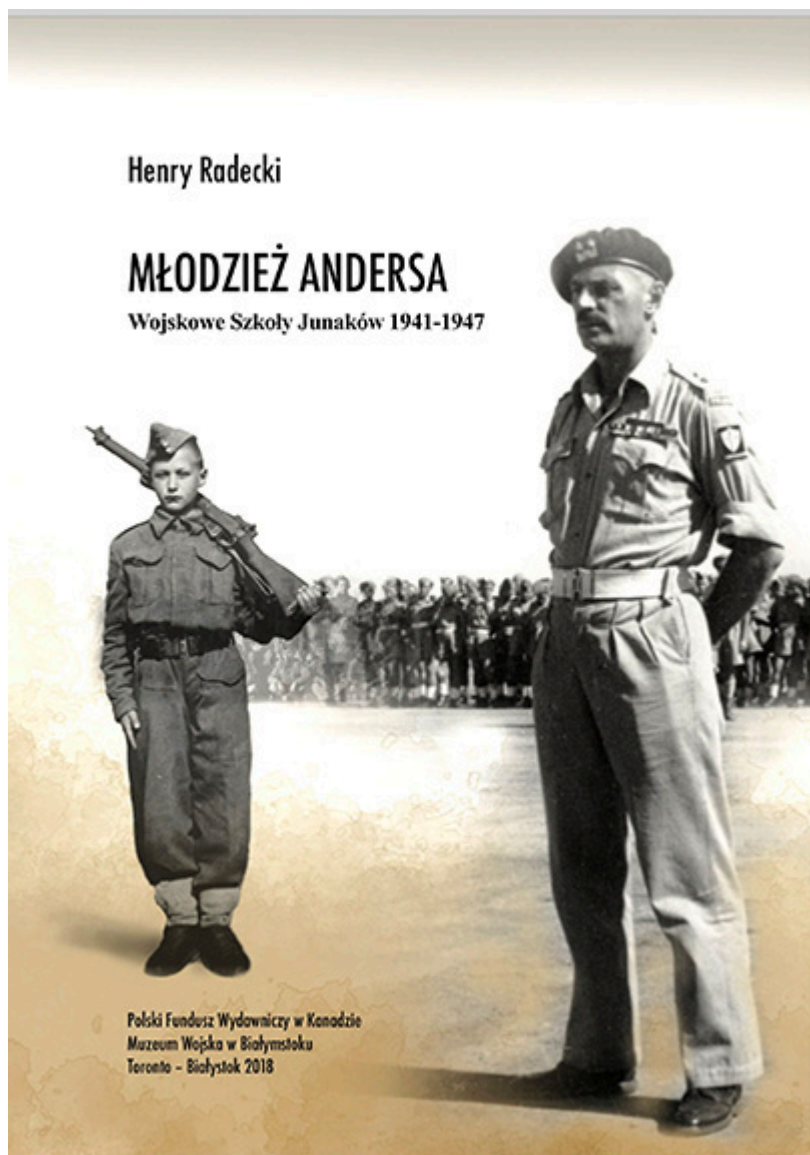
**Edward Zyman** (*Toronto, Kanada*)

Na polskim rynku księgarskim ukazała się kolejna pozycja Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie wydana w koedycji z Muzeum Wojska w Białymstoku. Jest nią tom Henry Radeckiego *Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947*. Jej autor, emerytowany profesor socjologii, wykładowca kilku uniwersytetów kanadyjskich, był junak, kadet, absolwent Gimnazjum i Liceum Lotniczego w Heliopolis w Egipcie oraz aktywny działacz kanadyjskiej Polonii, napisał książkę ważną i potrzebną. Cenniejszą tym bardziej, że stanowi nie tylko zapis uczonego oparty na wielu trudno dostępnych dziś źródłach, lecz także przekaz świadka, znającego opisywany przedmiot z autopsji.

*Dla Polaków - czytamy we wstępie - lata 1939-1945 pozostają ciągle fascynującym okresem; heroizm i tragedia uczestników kampanii wrześniowej i późniejszych walk na wielu frontach świata, dramatyczne historie bitew na morzu, w powietrzu*



*i na lądzie, życiorysy mężów stanu, dowódców i żołnierzy, kryjące wiele tajemnic sprawy polityki i dyplomacji tamtych czasów wciąż inspirują historyków i politologów, pisarzy i filmowców. Mimo obszernej literatury naukowej, setek tomów pamiętników i wspomnień uczestników II wojny światowej, więźniów obozów koncentracyjnych, zesłańców deportowanych przez władze Związku Sowieckiego z Kresów Rzeczypospolitej w głąb niehumanitarnej ziemi, a także mimo wielu ważnych dla naszej pamięci historycznej dzieł literackich, jest w dramatycznej historii Polski XX wieku temat, któremu poświęcono dotychczas nieproporcjonalnie mało uwagi. Tematem tym są powołane pod koniec 1941 roku przez dowództwo Wojska Polskiego w Związku Sowieckim Wojskowe Szkoły Junaków (i Junaczek, później Młodszych Ochotniczek), które rozpoczęły tam swoją działalność i rozwinęły się w pełni podczas wojny na Środkowym Wschodzie.*



O fenomenie tego, bezprecedensowego w dziejach II wojny światowej zjawiska, pisze sugestywnie w posłowniu prof. Adam Dobroński. Znany badacz stwierdza m. in., że być może książka Henry Radeckiego jest ostatnią publikacją tego typu, którego autorem jest junak II wojny światowej. Niestety, biologia ma swoje prawa. Pokolenie największego kataklizmu XX wieku schodzi z dziejowej sceny. A wraz z nim odchodzą świadectwa zachowane w pamięci jej świadków. Pozostaną dokumenty utrwalone w postaci artykułów, rozpraw, wspomnień, książek. *Młódzież Andersa* jest takim właśnie dokumentem, którego wagi i znaczenia przecenić nie sposób.

*Posłowie prof. Adama Dobrońskiego ukaże się w piątek 17 maja 2019 roku.*

---

**Artykuł Henryka Radeckiego o Muzeum im, Bolesława Orlińskiego w Kanadzie:**

<https://www.cultureave.com/muzeum-im-boleslawa-orlinskiego-w-kanadzie/>

---

## **Szacunek dla historii**



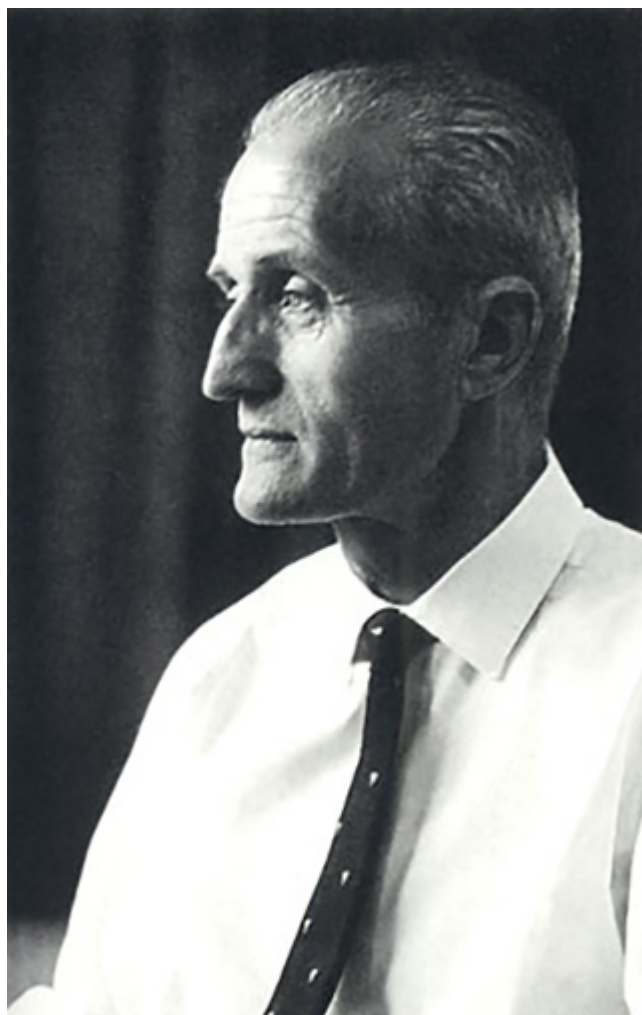
Józef Garliński z żoną Eileen, Londyn, lata 70. XX w., fot. Biblioteka Uniwersytecka

KUL.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Historyk Józef Garliński (1913-2005) bezustannie przypominał Anglosasom o polskim wkładzie w II wojnę światową. Dopominał się o uznanie zasług Polaków w rozpracowaniu niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma, informował o nieznanym aspekcie obozu zagłady Auschwitz wydając książkę "Fighting Auschwitz" o organizowanym przez Polaków ruchu oporu, mającym za zadanie przechwycenie władzy w obozie w odpowiednim momencie.

Gdy zaproszony przez Klub Dyskusyjny do London, Ontario, przyleciał z Londynu, lokalna gazeta kanadyjska opublikowała ogromne zdjęcie jego przedramienia z numerem oświęcimskim, wywołując konsternację i wielką dyskusję.



Józef Garliński, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z czasem Garliński stał się instytucją, po upadku rządów komunistów w Polsce



odwiedzał kraj z odczytami. Spotkałem go we Wrocławiu, w Anglii wręczył mi nagrodę literacką w 1991 roku. Długo piastował prezesurę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, był ambitny, ale także ofiarny i pracowity, a do społecznej pracy niewielu się paliło.

Po wielu latach urzędowania zastąpił go prof. Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk sztuki, ale wkrótce zmarł i wtedy jego funkcję objęła poetka i długoletni wydawca Oficyny Poetów i Malarzy, Krystyna Bednarczyk.

\*\*\*



Bohdan Jan Ejbich

Witałem sagę o polskiej eskadrze myśliwskiej 303 "A Question of Honour" Lynn

Olson i Stanley'a Clouda kilka lat temu z entuzjazmem i miło mi, że gościliśmy autorów w Toronto i że ich książka wydana została po polsku. Pamiętam jeszcze, że wystarczyło w owych czasach entuzjazmu dla polskich lotników - nosząc polski mundur wojskowy, nie płacono się za transport publiczny w Anglii.

Tę sławę polskich skrzydeł pomnażał także mieszkający w Toronto, a zmarły w 2013 r. w wieku 97 lat, inż. Bohdan Ejbich. Zapisawszy piękną kartę bojową, 44 loty bombowe, jako kapitan pilot po kilku latach w Anglii przeniósł się do Kanady, gdzie dał się poznać jako wiarygodny społecznik i autor ośmiu książek opowiadających o przeżyciach własnych, a także kolegów i towarzyszy, m.in. legendarnego płk. Bolesława Orlińskiego.